

I II III IV V VI VII VIII IX X KŁAD BOŻYKALENDARIUM dla RODZIN KATOLICKICH

Rok 7 — Nr. 15 (277) Włocławek, 29 kwiecień — 5 maj 1951 r. Cena 60 gr.

„Módlmy się: Prosimy Cię, Panie Boże dozwól nam służyć Swoim, cieszyć się ustawicznie zdrowiem duszy i ciała; a przemożne orędownictwo Najświętszej Maryi Panny niechaj to sprawi, byśmy od utrapień doczesnych wolni, po śmierci zażywali szczęśliwości wiecznej. Przez Chrystusa Pana naszego“ (z Mszału).

Cześć Maryi!

Maj to nowa dla nas przyczyna radości. Pan Jezus, dla swej najmilszej Matki, w maju obfitsze źródło łask otwiera i hojnie łaskami szafuje. W maju każdej duszy milej jakoś i weselej, łatwiej jakoś i słodziej modlić się i śpiewać, pracować i cierpieć i świat wydaje się jakby inny, i jakby całe niebo ku nam się zbliżyło.

W miesiącu maju pamiętajmy o nabożeństwie majowym, biorąc chętnie udział w tej wspólnej z innymi czci dla naszej najukochańszej Matki.

W pierwszej połowie XVIII wieku jezuita Mazzoreli zachęcał pobożnych, aby codziennie w miesiącu maju zbierali się w kaplicach i kościołach na nabożeństwo do Matki Boskiej. Papież Pius VII w roku 1815 pochwalił tę pobożną praktykę i odtąd zaczęła się rozszerzać po świecie katolickim. W Polsce początki nabożeństwa majowego przypadają na połowę XIX wieku. Pierwszy raz mieliśmy to nabożeństwo w roku 1852 w kościele św. Krzyża w Warszawie. Dzisiaj odprawia się ono wszędzie i jest jednym z najnielszych dla nas nabożeństw. Sposób odprawiania nabożeństwa majowego zależy od warunków i zwyczajów miejscowych. Zwykle śpiewa się Litanię do Matki Boskiej (Loretanśką), po litanii następuje nauka lub czytanie książki o życiu i cnotach Najświętszej Maryi Panny, w końcu śpiew jakiej pieśni Maryjnej.

Spieszmy więc w miesiącu maju do Matki Bożej. Ją weźmy sobie za Panią i Obronicielkę. Okażmy Jej swą miłość zwłaszcza w miesiącu Jej czci poświęconym.



WNIEBOWSTĄPIENIE PAŃSKIE

W czternastym dniu po Wielkanocy Kościół święty obchodzi uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego, by uczcić triumf Chrystusa Pana, który wznosił się do nieba z góry Oliwnej w obecności zgromadzonych Apostołów, i zarazem podkreślić nadzieje naszej przyszej chwały.

O Wniebowstąpieniu Pana Jezusa mówią w tym dniu teksty Mszy świętej. O fakcie wniebowstąpienia opowiada Lekcja wyjęta z Dziejów Apostolskich (1,4—16); Ewangelia zachęca do szerzenia wiary.

Kościół pamięta stale o tym wielkim zdarzeniu, i dlatego kończy każdą modlitwę słowami: „który żyjesz i królujesz z Bogiem Ojcem i Duchem Świętym Bóg na wieki wieków. Amen“.



Wniebowstąpienie

(mal. Fugel)

Ból Kościoła św. z powodu rozstania się z Mistrzem łagodzi nadzieja rychłego Zesłania Ducha Świętego.

Marian Jamrozik

Heleńko ujawni się wobec mnie czyjaś podłość zwłaszcza tych, których kochałem i byłem im oddany, wówczas doznaję bezgranicznego bólu, wówczas postanawiam sobie odgrodzić się murem obojętności od ludzi i żyć tylko sam dla siebie. Niestety, daremne postanowienie! Pierwsza napotkana nędza człowiecza wstrząsa mną, rozwała ów mur i — zapomniawszy co było, co bolało — zaczynam znów kochać. S.

Kto po sobie miłości ludzkiej nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziełstwa.

Juliusz Słowacki.

ODRZUCIWSZY KŁAMSTWO

Św. Franciszek Salezy powiedział: „Wasza mowa niech będzie prawdziwa, jeśli chcecie być dziećmi tego, który jest Ojcem prawdy i Prawdą samą.“ I w rzeczywistości, jeżeli chcemy dążyć do wielkiego ideału chrześcijańskiego, abyśmy się stali doskonałymi, jak nasz Ojciec niebieski jest doskonały, wtedy musimy przede wszystkim stać się podobnymi do niego w bezwzględnej prawdziwości, wszelki rodzaj kłamstwa musi być zdala od nas czy to kłamstwo w słowach, czy też nie mniej zgubne i Bogu obrzydliwe kłamstwo w czynach i postępowaniu, mianowicie obłuda.

Chrystus, nasz najpiękniejszy widzialny wzór, mówi o sobie: „Jam się na to narodził i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie“ (Jan 18,37). Razu pewnego postawił swym wrogom pytanie: „Kto z was dowiedzie mi grzechu?“ (Jan 8,46). Że przez to szczególnie o grzechu kłamstwa myślał, wynika z kontekstu, w jakim to pytanie postawił. Prawdomówność czyni człowieka obrazem Boga, wiecznej Prawdy; kłamstwo czyni go obrazem szatana, ojca kłamstwa. Do zakłamanych żydów, do których Jezus skierował pytanie: „Kto z was dowiedzie mi grzechu?“, powiedział „Wy z ojca czarta pochodzicie i pragnienia ojca waszego wypełniać chcecie. On jest mordercą od początku i w prawdzie nie wytrwał, bo nie masz w nim prawdy; gdy wypowiada kłamstwo, mówi od siebie, bo kłamcą jest i ojcem kłamstwa“ (Jan 8,44). Św. Augustyn mówi: „Wszyscy, którzy kłamią, są dziećmi szatana“. I św. Tomasz z Akwinu trafnie porównuje kłamcę z fałszywą monetą, na której jest wybitny obraz szatana. Gdy ta moneta zostanie wyciągnięta w dzień sądu, wtedy sędzia zapyta: Czy to jest obraz? Odpowiedź będzie brzmiała: Szatana.

Wtedy niezwłocznie powie: Zatem dajcie szatanowi, co jest szatana. Kłamcy nie wnikną do niebieskiego Jeruzalema, lecz „udziałem... wszystkich kłamców będzie jezioro ogniem gorejące i siarką, to jest śmierć wtóra“ (Obj. 21,8). „Obrzydliwością są Panu wargi kłamliwe, a którzy szczerze postępują, podobają mu się“ (Przysł. 12,22). „Warga prawdy trwać będzie na wieki“ (Przysł. 12,19).

Przeciw żadnej kategorii ludzi Pan Jezus z taką stanowczością nie wystąpił, jak przeciw faryzeuszom, typowym obłudnikom: „Biada wam uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy, bo podobni jesteście do grobów pobielanych, które na zewnątrz wydają się ludziom piękne, wewnątrz zaś pełne są kości trupich i wszelkiego plugastwa“ (Mat. 23,27). Uważnego czytelnika Ewangelii uderza to, że Jezus ze wszystkich możliwych rodzajów grzeszników jednego lub drugiego wybrał do szczęśliwości: z lichwiarzy wybrał Zacheusza; bandytę jeszcze w ostatniej godzinie pociągnął do siebie; przy studni Jakubowej nawrócił kobietę złego prowadzenia; w Marię Magdalenę tchnął innego ducha; nawet z najzacieklejszego prześladowcy chrześcijan, jak czytamy w Dziejach Apostolskich, zrobił żarliwego apostoła swego Kościoła. Ale nigdzie nie znajdziemy w Piśmie św.,

żeby kłamca lub obłudnik stał się uczniem Jezusa.

Pócz powodu, że kłamstwo czyni człowieka tak niepodobnym prawdziwemu Bogu i podobnym szatanowi, kładzie św. Tomasz z Akwinu wielką wagę na inny powód: kłamstwo burzy podstawę społeczności ludzkiej. Człowiek jest stworzony jako istota społeczna: jego natura jest nastawiona na życie w społeczności z równymi sobie. Musi się dlatego podporządkować społeczności i musi unikać wszystkiego, co burzy uporządkowaną społeczność. Ale uporządkowana społeczność jest tylko wtedy możliwa, gdy prawda wśród ludzi panuje. Gdy jeden nie wierzy więcej słowom drugiego i nie może ufać jego obietnicom, gdy kłamstwo panuje, wtedy panuje również bezład wśród ludzi, wtedy nie ma mowy o miłości i sprawiedliwości. Apostoł narodził mówi: „Dlatego odrzuciwszy kłamstwo, mówcie każdy prawdę z bliźnim swoim, bo jesteśmy jedni drugich członkami“ (Ef. 4,25).

W czwartym wieku żył w Antiochii młody, wysoko utalentowany adwokat, któremu wszyscy przepowiadali błyskotliwą karierę z powodu jego błyszcącego daru wymowy. Ale pewnego dnia rzucił on swój wiele zapowiadający zawód. Dlaczego? Wtenczas adwokat był pod wielką względami adwokatem kłamstwa; chodziło mu przed sądem nie o to, by prawdę wyświecić, lecz by ją kunsztowną mową zakryć. To sprzeciwiało się subtelnemu uczeniu i prawniczemu sumieniu tego szlachetnego człowieka. Powiedział: „Nie w świecie, w którym musi się kłamać nie mogę żyć!“ I poświęcił się odąd całkowicie wiecznej prawdzie. Kościół ceni go jeszcze dziś i cześć go będzie aż do końca czasów: został on wielkim biskupem i Ojcem Kościoła, jest nim św. Jan Chryzostom. Miłość do prawdy uczyniła go wolnym i wielkim i świętym. Wł. N.

Prymas Polski u Ojca św.

Prymas Polski J. E. ks. arcybiskup metropolita dr Stefan Wyszyński w towarzystwie ordynariusza łódzkiego ks. biskupa dra Michała Klepacza wyjechał do Rzymu na konferencję z Ojcem Św.



W kościele św. Cecylii panował półmrok. Słabe światło konającego dnia przefiltrowane przez wysokie, kolorowe witraże średniowieczne, kładło się długim, bladej żółcią pasmem na rząd ławek kościelnych, poprzez kamienną posadzkę aż zatrzymało się na konfesjonale i ścianie. W konfesjonale siedział ksiądz proboszcz Goliński i słuchał spowiedzi. Po jednej i po drugiej stronie konfesjonalu stało co siedem osób. Ksiądz proboszcz odchylił się i czyniąc znak Krzyża świętego, zapukał. Młoda kobieta wstała z klęczek i schyliła się, aby dotknąć wargami chłodnego jedwabiu stuły, po czym odeszła do ławki i tam ukięła. Ks. Goliński spojrział, czy jeszcze wiele jest osób do spowiedzi, a przekonawszy się, że tylko kilka, odetchnął. Miał dziś bowiem pracowity dzień, do tego nie czuł się ostatnio zdrowy, serce jakoś nie domagało. W służbie Bożej spędził sporo lat i do młodych nie zaliczał się, włosy przyprószyła już siwizna, a na twarzy coraz więcej zaczęło się ukazywać zmarszczek.

Przychylił się do kratki konfesjonalu po drugiej stronie, aby wysłuchać mężczyznę.

Malwina Wroczyńska, tak się nazywała ta młoda 29-letnia kobieta klęcząca w ławce, spojrzawszy mimowoli później na odchodzącego od konfesjonalu mężczyznę, drgnęła.

Postać i twarz wydawała się jej znajoma. Czy to możliwe? Miałaby go po wielu latach spotkać i tu, w kościele? Nie chciała wierzyć. Jeszcze raz spojrziała chcąc się ostatecznie przekonać. Tak, fakt zostanie faktem. On to był Bogumił Tarwiński. Nie zauważywszy jej przeszedł do bocznego ołtarza i tam ukląkł. Młoda niewiasta przymknęła oczy. Rozmyślała, cofając się pamięcią wstecz o pięć lat.

Bogumił Tarwiński zostawił ją wraz z dzieckiem, małą Jadwigą bez środków do życia i pojechał. Nie dał znaku życia o sobie. Wroczyńska pracowała, wychowując choć w ciężkich warunkach małą Jadwigę. Lecz niestety, wątpliwego zdrowia dziewczynka mając niespełna rok zmarła jeszcze tam, w Kielcach. Czas płynął. Wroczyńska stopniowo zapomniała o niegodziwym ojcu. Wyjechała z Kielc do tego tu staranego miasta i tu zamieszkała. Pracowała w przedsiębiorstwie budowlanym jako kreślarka. Dni płynęły jej monotonnie wypełnione pracą, aż dziś niespodzianie po spowiedzi musiała go ujrzeć.

Otworzyła oczy kierując wzrok w stronę bocznego ołtarza. Jeszcze tam klęczał i modlił się. Dziwne. Tyle lat co tu mieszkała i nigdy, ani razu go nie widziała. Z pewnością przyjechał na krótki czas w jakichś sprawach. Malwina przyzwyczaiła się do swego samotnego życia. Było jej dobrze samodzielnie, samej iść przez życie, borykać się z codziennosciami. Przede wszystkim była sama, niezależna od nikogo. Aż dziś... co za traf. Spojrzała na Tarwińskiego ponownie. Ten klęczał jeszcze. Nie zmienił się zasadniczo wiele. Lat miał dziś około 40.

Gdy tak Malwina Wroczyńska rozmyślała, myśli Bogumiła koncentrowały się na jednym pragnieniu: spotkać raz Malwinę, którą uważał jednak za najlepszą, najwartościowszą kobietę spośród wszystkich kobiet, które poznał w ciągu tych pięciu lat. Jego jedynym pragnieniem było spotkać Malwinę i uzyskać od niej przebaczenie, naprawić krzywdę jej wyrządzoną przez ożenienie się z nią. — Dziwczynka, moja córka będzie miała na pewno już 5 lat i urodziwa jest jak jej matka — pomyślał.

Przyjechawszy do tego miasta w sprawach materialowych na dwa dni postanowił, jeszcze będąc w pociągu, pójść do spowiedzi w sobotę i zrzucając ciężar grzechów prosić Boga o przebaczenie. Bogumił Tarwiński chciał, spotkawszy Malwinę wreszcie z nią pomówić i nowe, inne rozpocząć życie. Miał to szczere pragnienie.

Klęcząc przed bocznym ołtarzem i wpatrzony w obraz św. Józefa widział oczyma duszy, jak na ekranie, na ta-

PO PIĘCIU LATACH

opowieść

śmie filmowej całe swoje dotychczasowe życie, które wielkiej nie przedstawiało wartości. Nie było w nim błogosławieństwa Bożego. Czego się imał w swej pracy, nic mu się na długo nie udawało. Zmieniał posady. Aż ostatnio otrzymawszy stanowisko referenta materialowego czuł się zadowolony. Był często w terenie. Ostatnio odwiedził w Płocku swoją matkę staruszkę. Zwierzył się jej ze wszystkiego. Staruszka wysłuchawszy go prosiła, aby usilnie starał się odnaleźć Malwinę i wyrządzoną jej krzywdę naprawił. Tarwiński przyrzekł matce, że to uczyni. Nawet dał odpowiednie ogłoszenie do pras, lecz odpowiedzi nie otrzymał.

Spowiednik dał mu rozgrzeszenie widząc jego szczere intencje naprawienia zła wyrządzonego tej kobiecie. Ma tylko mieć ufność w Bogu, a Bóg skieruje wszystko na drogę właściwą. W międzyczasie zakrystian wyszedł z zakrystii i podszedł do sznura sygnaturki odłączając go od gwoźdźcia i zaczął dzwonić. Głos sygnaturki wzywał ludzi na wieczorne nabożeństwo. Ksiądz proboszcz Goliński miał jeszcze tylko po dwóch spowiadających się po obu stronach konfesjonalu. Spojrzawszy na zegarek i pochylił się słuchać dalej spowiedzi. Jeszcze kilka minut i skończy. Trzeba będzie odprawić nabożeństwo.

Tymczasem Bogumił Tarwiński wstał od stopni ołtarza i chciał wejść do pierwszego lepszego rzędu ławek, gdy w tym spojrzeniu jego padło na postać Malwiny. Zatrzymał się zaskoczony. Czyżby?... — pytanie zrodziło się w jego głowie. Odszedł od ławki i powoli zbliżał się do Malwiny. Stał blisko niej. Patrzył sobie w milczeniu w oczy. Milczenie to trwało czas pewien. Zakrystian spełniwszy swoją czynność, znów zakręcił sznur sygnaturki wokół gwoźdźcia i wszedł przez wąskie przejście w grubym murze do zakrystii.

Malwina, która w pierwszej chwili po pewnym zastanowieniu chciała, uj-

rzawszy Bogumiła, opuścić kościół, bo wróciło jej w pamięci całe przykre przeżycie po porzuceniu jej przez tego człowieka, pozostała jednak. Usłyszała bowiem głos Boga, który mówił, że człowiekowi, który ze szczerą skruchą wraca, trzeba przebaczyć. Po latach Bogumił błąd swój chce naprawić.

— Przebac mi?... — usłyszała szept. Nic nie odpowiedziawszy posunęła się dalej w ławce dając tym do zrozumienia mu, że może zająć miejsce obok niej.

W tej chwili ksiądz proboszcz skończywszy spowiedź, wstał, zdjął stułę zawiesił, otworzył drzwiczki konfesjonalu i wyszedł. Widział tych obojga ludzi, którzy się w kościele spotkali.

Ksiądz proboszcz stał chwilę za nim. Był świadkiem jak mężczyzna wszedł do ławki i siadł koło kobiety.

Ksiądz Goliński jakby przeczuwał co się w duszach tych dwojga dzieje. Oboje pochyleni modlili się zapatrzeni w główny ołtarz. Ksiądz ruszył w stronę zakrystii.

* * *

Oboje, Bogumił i Malwina wychodzili z kościoła. Mrok wieczorny jasnym fioletem zalegał cały plac przed kościołem, wypełniał gęstym tuszem krzewy pod murem kościoła rosnące. Jedynie hukowa lampa elektryczna paliła się nad bramą, ozdobioną kamiennymi figurami aniołów i świętych. Minęli bramę i znaleźli się na ulicy.

— A, a dziewczynka, nasze dziecko?... — pytał Bogumił nieśmiało.

— Zmarła. Żyjąc niespełna rok.

— Zmarła?

— Tak. Chorowała dużo. Była tak wzięta. Bóg ją zabrał do siebie. — Spojrzała na niego. — Ale... zaczęła.

— Ale teraz — rzekł z mocnym postanowieniem — teraz rozpoczniemy inne życie, wspólne życie — zobaczysz. Będę się starał krzywdę ci wyrządzoną wynagrodzić, tysiąc kroć wynagrodzić, wierz mi, Malwino. Powziąłem mocne postanowienie tam, przy spowiedzi i — słowa dotrzymam, przyrzekłem i — dotrzymam!

— Wierzę — odszepnęła. — Wierzę ci.

Adam Późniacki.

ASYŻ CELEM WIZYT JUBILEUSZOWYCH

W Asyżu została opublikowana statystyka, dotycząca napływu pielgrzymów do miasta św. Franciszka w czasie trwania roku jubileuszowego 1950. Miasto to odwiedziło przeszło pół miliona pielgrzymów różnych narodowości. Spośród pielgrzymów zagranicznych na pierwszym miejscu znajdują się katolicy belgijscy, którzy odwiedzili Asyż w liczbie około 22 tys. osób.

NOWY PRZEKŁAD PISMA ŚW.

Z Jerozolimy donoszą, że OO. Dominikanie rozpoczęli prace nad nowym przekładem w języku francuskim Pisma Świętego. Przekład ten ma być gotowy w 1952 roku. To nowe tłumaczenie nosiło będzie tytuł „Biblii Jerozolimskiej“.

BISKUPI WARMIŃSCY

Warmia jest to kraina wchodząca w obręb północnych ziem Polski. Od niepamiętnych czasów zamieszkała była przez pogańskie plemię Prusaków, których kolebką była ziemia leżąca na prawym brzegu dolnej Wisły, tam, gdzie dziś spotykamy miasta: Kwidzyn i Susz. Prusacy najdłużej ze wszyst-

boru trydenckiego naprawiającego stosunki kościelne. Pierwszą jego troską było zaprowadzenie w diecezji dobrych szkół katolickich. Na profesorów i wychowawców w tych szkołach postanowił ściągnąć do Polski Jezuitów. Pierwsi Jezuiti przybyli do nas w 1564 roku i osiedlili się w Brunsberdze. Kolegium, które w tym mieście założył Hozjusz stało się na szereg lat głównym ośrodkiem katolickiego wychowania w Polsce. W ślad za tym kolegium, podobne kolegia założyli pod wpływem Hozjusza inni biskupi w Polsce. Temu to pokoleniu Polaków wychowywanych od tam w szkołach zakładowych na wzór Hozjuszowy, zawdzięczać należy w dużej mierze odzyskanie kraju polskiego z powrotem dla Kościoła. Obok kształcenia polskiej inteligencji świeckiej, położył Hozjusz duży nacisk na zdobycie dobrego kleru. Żeby zapoznać kler z dekrétami sob. tryd. zwołał Hozjusz synod diecezjalny. W diecezji swojej założył pierwsze w Państwie Polskim Seminarium Duchowne. Ze szczególną pieczołowitością starał się wpływać na współczesnych sobie biskupów polskich. W ten sposób zaczął ten biskup ocalić katolicyzm Warmii przed zalewem luteranizmu. Niemniej gorliwym był o dobro kraju, któremu nie mógł lepiej służyć jak tym, że starał się o utrzymanie jedności religijnej. Zmarł w 1579 r.

u obcych narodów. Wydał on nowe księgi liturgiczne, specjalne dla Warmii a mianowicie: Mszał, Breviarz i Kalendarz Liturgiczny. Pisał dzieła poetyckie a prozą wydawał dzieła teologiczne. Podczas pobytu na studiach w Bolonii, znalazł tam rękopis mów św. Jana Chryzostoma i po powrocie do



Bp Marcin Kromer

kich szczepów słowiańskich pozostawiali wierni wierze praojców i dzielnie bronili się przeciw podbojom Zachodu. W początkach XIII wieku Prusacy z tak wielką siłą przeciwstawiali się zalewowi Zakonu krzyżackiego, że niewiele brakło a byłiby go złamali, gdyby nie był pospieszyl z pomocą Zakonowi książę brunszwicki. Bronili się ci poganie przeciwko krzyżowi dlatego, że krzyż ten nieśli wraz z mieczem rabusie i okrutnicy, i krzyż ten był synonimem niewoli. Około r. 1250 ziemia pruska zawojowana przez Krzyżaków, dostała się pod władzę biskupów jako lenników papieża.

W tym też czasie została podzielona na trzy samodzielne biskupstwa: sambińskie, warmińskie i pomorzańskie.

Pokój toruński (1466) oddał Warmię pod panowanie króla polskiego. Traktat zaś piotrkowski w roku 1512 przyznał królowi polskiemu wpływ w wyborach biskupów warmińskich. W ten sposób od połowy XVI wieku aż do pierwszego rozbioru, biskupami Warmii byli wyłącznie Polacy.

W licznym szeregu polskich biskupów warmińskich są biskupi wielce zasłużeni.

Ten szereg warmińskich biskupów Polaków otwiera zasłużony Biskup Stanisław Hozjusz (1504—1579) późniejszy kardynał. Jako kardynał występował na soborze trydenckim, przewodnicząc w obradach. Zostaje biskupem warmińskim w tym czasie, gdy do Polski napływała fala protestantyzmu godząc w jedność Kościoła. Hozjusz był pierwszym, który w Polsce zaczął wcielać w życie uchwały so-

Po śmierci Hozjusza ordynariuszem diecezji warmińskiej zostaje Bp Marcin Kromer 1512—1589, który szedł pod każdym względem wiernie śladami swego poprzednika. Odbił on kilka synodów i wpływał na życie kościelne przez wizytacje. Rozwinął szkoły założone przez Hozjusza.

Za jego staraniem zakwitła nauka wśród duchowieństwa, odżyła wiara i gorliwość religijna wśród ludu.

Hozjusz położył fundament pod religijne odrodzenie Warmii, Kromer zaś tego odrodzenia dokonał i sprawił, że jego diecezja pomimo niebezpiecznego sąsiedztwa zarażonych reformacją Prus, pozostała na stałe katolicką.

Kromer słynął wreszcie jako pisarz i temu zawdzięcza sławę swoją nawet



Bp Jan Dantyszek



Stanisław kardynał Hozjusz

kraju wydawał je w przekładzie. Wydał Katechizm, który ułatwiał duchownym jego diecezji nauczanie religii. Ważną przysługę wyświadczył Kromer katolikom pismami polemicznymi, które są znane pod ogólnym tytułem: Mnich. Mówi w tym dziele o rzeczach religijnych, napastowanych przez reformację. Kromer studiował też historię Polski i wydał z tego zakresu dwa dzieła.

Do biskupów warmińskich należy też Jan Dantyszek, Gdańszczanin. Urodził się w roku 1485. Zostawszy biskupem w roku 1530 gorliwie zapobiegał szerzeniu się protestantyzmu. W sprawach politycznych bronił interesów Polski przeciwko Prusakom. Dantyszek odznaczał się też zdolnością poetycką. Zostawił wiele wierszy łacińskich, a pomiędzy nimi również hymny religijne.

Ostatnim biskupem polskim w Warmii był Ignacy Krasicki (1735—1801), który zasłużył się Polsce jako utalentowany pisarz. Konsekwentnie został na biskupa w r. 1766. Powinności kapłańskie i pasterskie pojmował należycie, a w owych czasach obojętności religijnej i niewiary (XVIII wiek) był człowiekiem religijnym i bynajmniej nie hołdował nowym ideom wieku. Jako pisarz Krasicki jest niezaprzeczenie przedstawicielem wieku Stanisława Augusta, kiedy to Polska upadając politycznie, zabłysła w piśmiennictwie. Krasicki jako pisarz narodowy, postanowił uczyć swój naród i wszczepiać w niego zdrowe pojęcia. Wszystkie jego pisma i wiersze i prozą mają na celu naukę, poprawę. Wpływ jego był ogromny. Jego „Bajki” stały się prawdziwą filozofią narodową; młodzież uczyła się ich po szkołach. Starsi czytali z większym jeszcze zajęciem jego „Satyry” i inne poezje. S. Zal.

O straszaniu dzieci

Stosowanie strachu, jako „środku wychowawczego”, jest bardzo znanym i rozpowszechnionym sposobem. Używają go starsi w stosunku do dziecka, aby zmusić je do posłuszeństwa. Wskutek wybujałej fantazji u dziecka, mniejszego poczucia rzeczywistości, (co daje się łatwo zauważyć w zabawach dzieciennych), i co za tym idzie, większej łatwowierności, strach znajduje u dziecka podatne podłoże. Dzieci z natury swej bardzo są skłonne do przeżywania strachu z byle jakiego powodu. Starsi, tymczasem, zamiast je z tego leczyć, sami w dziecku rozwijają tę skłonność.

Oto kilka typowych przykładów, zaczerpniętych z życia: Wiemy, że brak apetytu u dziecka, lub grymasy przy jedzeniu, są źródłem wielkiego umęczenia dla otoczenia. Właśnie mały Jaś jest takim okazem. Niczym nie można go skłonić do zjedzenia kaszki. Wreszcie umęczona ciocia, — gdy mama, zniechęcona już daremnymi wysiłkami, opuściła plac boju, — wpada na doskonały pomysł i mówi: „baba idzie z workiem i zabierze Jasia, jeżeli nie będzie jadł!”. Jaś zdaje sobie sprawę z całej grozy sytuacji: nie tylko, że przyjdzie baba, ale włoży go do worka, gdzie będzie ciasno i ciemno, i zabierze z dala od mamusi, — więc kapituluje, i choć z obrzydzeniem, ale zjada prędko kaszkę. Wtedy z triumfem ciocia pokazuje mamie pusty talerz, przekonana, że gdy „umiejętnie” wziąć się do Jasia, to człowiek da sobie zawsze z nim radę!

Inny przykład: trzyletni Staś już kilkakrotnie obsypał młodszego bratciszkę piaskiem, na co ten podniósł wielki krzyk. Jest bardzo gorąco, mama dopiero co usiadła do roboty, a tu trzeba będzie znowu wstawać i rozbrajać zwaśnione dzieci! Groźnie też zapowiada, że jeżeli jeszcze raz Staś powtórzy ten figiel, to pójdzie do ciemnej łazienki. Perspektywa nie jest przyjemna: skoro starsi straszą ła-

zienką, to musi coś w tym być, — myśli malec — przy tym w łazience jest ciemno, a z kranu może niespodzianie wyjść jakiś strach! Lecz Staś ma nieprzepartą chęć obsypania jeszcze raz brata piaskiem i czyni to. Wtedy mama, w imię autorytetu, czuje się w obowiązku spełnić groźbę. Prowadzi Stasia do łazienki, dziecko przeraźliwie krzyczy i opiera się, i dopiero po solennej obietnicy, że więcej nie będzie tego robił, wraca i grzecznie bawi się na piasku.

STRASZENIE OJCEM

Często znów, gdy matka nie może sobie dać rady z dzieckiem, straszy go ojcem, że przyjdzie i ukarze. Czyniąc tak matka wystawia sobie świadectwo słabości, gdyż nie może sama zdobyć posłuchu, tylko musi uciekać się do innego autorytetu, a następnie podrywa zaufanie i uczucie do ojca, co pozostaje często na całe życie. Najgorszym jest straszenie dzieci przed snem. Po całym dniu ruchu i pracy, nerwy pod wieczór są przemęczone, wyobraźnia skłonna do łatwiejszego podniecenia; przy tym już sama ciemność jest powodem różnych obaw.

Wszystkie te warunki składają się na wytworzenie idealnej atmosfery strachu. I to wtedy, kiedy specjalnie powinniśmy dbać, aby dziecko było spokojne, matka, lub wychowawczyni, znużona tym, że dziecko nie chce długo usnąć, straszy je, aby je skłonić do szybszego zaśnięcia. Ten sposób może okazać się skutecznym w pojedynczym wypadku ale następstwa są opłakane. Dziecko później boi się, więc tym dłużej nie może zasnąć; lęka się ciemności, każe komuś stałe przy sobie siedzieć i palić lampę; gdy się obudzi w nocy to krzyczy, nie chce być samo i zamęcza całe otoczenie.

Ze straszaniem dzieci przed snem wiąże się także sprawa opowiadania dzieciom bajek, przeważnie o szarej godzinie — okropnych, przerażających, dających dziecku materiał do nieprzyjemnych marzeń sennych i obaw przed zaśnięciem. Takie bajki powinny być skasowane.

SKUTKI STRASZENIA

Podaliśmy kilka przykładów; moglibyśmy mnożyć je w nieskończoność, gdyż wyobraźnia ludzka wysila się w tym kierunku, aby straszyć i dręczyć te biedne dzieci: każdy przedmiot może być źródłem strachu jeśli stworzymy dlań odpowiednią atmosferę. Często tworzy ktoś starszy całą scenę: wychodzi do drugiego pokoju i głośno stuka na małego nieznosnika; dziecko dostaje gęsiej skórki: stukanie, to już dowód rzeczowy obecności strachu w drugim pokoju.

Jakie skutki ma ta błędna metoda wychowawcza? Jest nieskuteczna, — z praktycznego więc nawet punktu widzenia powinna być zarzucona O ile, bowiem, chwilowo cel jest osiągnięty, to w przyszłości metoda ta mści się. Sprytnie i mniej nerwowe dziecko spotrząga się niebawem, że jest oklamywane, traci więc zaufanie do starszych

i ten środek zaradczy przestaje być skuteczny. Bardziej nerwowe dziecko wpada pod wpływem strachu w taki stan podniecenia i zdenerwowania, że nie może spełnić tego, czego od niego żądamy: ani zjeść spokojnie, ani zasnąć itp.

Straszenie dzieci starszymi, kalekami odbiera dziecku miłość i współczucie dla bliźnich i cierpiących. Cóż ci biedacy są winni i jaką wyrządzamy im krzywdę, gdy dziecko, zamiast darzyć ich uśmiechem i umilać życie, ucieka od nich z krzykiem przerażenia i wstrętem!

STRASZENIE ZWIERZĘTAMI

Tak samo rzecz się ma ze zwierzętami: uczymy dziecko, aby się ich bało, i pozbawiamy je wielu uciech, jakie miałyby w przyszłości, obcując i obserwując stworzenia. Pozbawiamy dziecko wielu chwil radosnych, nauczywszy je bać się różnych rzeczy, podrywamy dziecku warty system nerwowy. Zabijamy odwagę, tę podstawową zaletę w charakterze człowieka. Tyle nam odwagi w życiu potrzeba, że nie odbieramy jej dziecku! Nikt chyba nie odważyłby się stosować tego środka, gdyby zdawał sobie sprawę z jego zgubnych skutków.

Jak leczyć dziecko, tak wadliwie prowadzone? Najlepiej przekonywać je przykładami i dowodami, że strachy nie istnieją. Np. jedna wychowawczyni opowiadała mi, iż miała w swej praktyce dziecko, które straszono, że zza okna wyjdzie nań baba. Dziecko nie dało się przysunąć do okna, tylko krzyczało przeraźliwie. Po zbadaniu przyczyny tego krzyku, udało jej się namówić dziecko, aby podeszło do okna i zobaczyło, że za nim baby nie ma. Dziecko przekonało się naocznie, uwierzyło, i od tego czasu nie bało się. Sama obserwowałam małą dziewczynkę, którą wychowawczyni zabawiła w ten sposób, że stukała w drzwi. Skutkowało to istotnie, gdyż dziecko przestało płakać. Dopiero po kilku miesiącach przekonałam się, że dziecko bało się tego stukania. Gdy miało już półtora roku, a słyszało stukanie, to samo, w celu uspokojenia, doszukiwało się przyczyny i mówiło sobie „Euenia tiuka” co znaczyło, że Helena stuka. To dziecko bezwiednie stosowało rozumną metodę leczenia się ze strachu. Często system nerwowy dziecka, wskutek częstego straszenia go, jest już tak poderwany, iż trzeba przeprowadzić specjalną kurację, oczywiście pod kierunkiem lekarza specjalisty.

J. Ł.

Dobro znajduje się nie gdzieś poza nami, lecz w nas; nie myśl więc, że gdy jest ci źle, polepszysz sobie, zmieniając miejsce i otoczenie. Chcąc pozbyć się zła, przede wszystkim zmień — siebie. Jeśli cierpisz wskutek swojej niedoskonałości, popraw się. Jeśli jesteś doskonałym(?) i cierpisz wskutek złośliwości bliźnich, najpierw zahartuj się w dobrym i uodpornij na złe wpływy otoczenia, a potem w miarę możliwości ulepszaj i innych.



— Mamusiu, Basia posadziła żabę na drzewie i chce, żeby jej zaśpiewała, jak słowik, a ja jej mówię, że żaba spadnie i jeszcze się pokaleczy, albo i zabije! Matka stłumiła uśmiech. — Co wy za nierozsądne pomysły macie i dokuczacie biednym zwierzętom! — Ależ, mamusiu — wołała Basia, biegnąc pędem do matki — ja nie tak wysoko tę żabę posadziłam! A ty — zwróciła się do Zosi — też nie jesteś lepsza: ciągle zrywasz kwiaty, a gdy zwiędną, rzucasz je na ziemię i ludzie po nich depczą.

— Tak, ale kwiaty nie czują tego, je nic nie boli! — A skąd wiesz? Zosia zafrasowała się. — No... bo się nie bionia, nie uciekają, nie płaczą... Zresztą, to przecież wiadomo! — Przestańcie się kłócić, bo do niczego w ten sposób nie dojdziecie — rzekła matka. — Basiu, coś ty ostatecznie z tą żabą zrobiła, czyś ją zostawiła na drzewie? — Nie, ona już zeskokczyła. — Napewno sobie nóżkę wykreciła — dorzuciła z głębokim przekonaniem Zosia. — A przecież, jak kwiatek rzucam na ziemię, to sobie nóżki nie wykreci, ani nie złamię palca — próbowała obronić się jeszcze z niespodziewanego zarzutu. Matka wzięła dziewczynki za ręce i zaprowadziła na ławeczkę, skąd rozpościerał się szeroki widok. Słońce było już nisko i złoty blask kładł się długimi smugami wśród rozkwitłych drzew. Łąki stały na pół w wodzie, nad którą unosiły główki białe i żółte kwiaty, a trawy pochylały się lekko, jakby w nieustannym pokłonie odchodzącemu słońcu. Wiosenne wody wyglądały, jak błękit, na który jakaś hojna ręka sypnęła złocistego pyłu. Kwiaty mrużyły olśnione oczy przed ostatnimi dotknięciami słońca. W powietrzu unosił się radosny, cichnący gwar życia. — Basiu — rzekła cichym głosem matka — połącz no rączkę na sercu i posłuchaj... — Biję — szepnęła zdziwiona dziewczynka. — Pomyśl i odpowiedz mi, co to jest za siła, która ci serce porusza, która pozwala ci myśleć, mówić, ruszać się, widzieć, słuszeć, kochać...

— Życie — odpowiedzieli głębokim głosem obydwie dziewczynki, wyczuwające powagę myśli matczynej. — Tak. Trzymaliście pewnie kiedy w rękach schwytanego ptaka — zresztą trzymaliście nieraz na kolanach koty i pieski... — Tak, tak mamusiu — przerwała nagle jedna z dziewcząt, — im wszystkim także biją serca... A schwytanemu ptakowi serce tak się tłucze... — Życie, życie — wykrzyknęła druga głosem, jakby po raz pierwszy odkryła rzecz wielką i ważną — wszędzie jest życie! — Wszędzie jest życie — powtórzyła z uśmiechem, jak echo, matka. — Zosiu, zerwij ten kwiatek czerwony. tylko ostrożnie i delikatnie i przynieś go tutaj. Zosia spełniła rozkaz. — Przyjrzyj mu się dobrze i powiedz mi, skąd wziął się, taki śliczny i pacnący? — Z paczka. — A paczek? — Z łodyżki. — A łodyżka? Z ziarenka. A ziarenko? — Z kwiatka zeszłorocznego. A więc?... — Życie, życie — wołały obydwie dziewczynki — jakież to cudowne!

— Więc ty także żyjesz. śliczny kwiatuszku? — szeptała Zosia, przy-

ciskając ostrożnie kwiatek do twarzy, jakby chciała posłuchać, czy i jemu bije serce. Spójrzcie teraz dokoła — mówiła matka uradowana — na ogród i pola, na rzekę, która jest ciągle w ruchu, i w której roi się tyle różnych żyłatek, — patrzcie na ziemię, po której chodzicie, patrzcie dokoła siebie i słuchajcie... słuchajcie... — Wszystko żyje, cały świat żyje! — wykrzykiwały radośnie dziewczynki. Mamusiu, jakaś ty śliczna w tej chwili! — zawołała nagle jedna z nich.

— Zachodzi słońce — rzekła z zadumą matka. Purpurowo-złota luna, rozłożona na niebie, jak bajeczny wachlarz z płomienistych piór rajskiego ptaka, rzucała na jej twarz, rozświetlona miłością i mocą wielkiej myśli, swój promienny odbłask.

— Mamusiu, a czy słońce także żyje? — usłyszała ciche pytanie. Powiedz dziecko, dlaczego zimą nie kwitną kwiaty, nie rozwijają się rośliny, ptaki nie wiją gniazd? — Bo jest mało słońca. — A gdyby słońce zgasało zupełnie? — Ach, to by chyba wszystko umarło mamusiu, życie by umarło? — Nie umarłoby życie, bo ono nie umiera nigdy — lecz umarłaby ziemia i to wszystko, co jest z niej, — odeszłoby życie, tak jak słońce w tej chwili odchodzi. To znaczy, nie byłoby ani drzew, ani kwiatów, ani zwierząt ani ludzi... — Ani ciebie, mamusiu! — krzyknęła nagle jedna z dziewczynek. Matka ucałowała ją ze śmiechem.

Albatrosy — najcierpliwszi rodzice

Albatrosy, są to ptaki zamieszkujące głównie południową półkulę na której oceany przeważają nad lądami. Przez cały rok spotykane są w pasie mórz zawartych pomiędzy 30° a 50° południowej szerokości geograficznej. Nieraz mijają równik i залатują nad Atlantykiem aż do Europy.

Albatrosy to doskonałe lotniki, całymi tygodniami towarzyszą statkom i wypłapują odpadki kuchenne wyrzucane do wody. Przeważnie żywią się rybami i skorupiakami. Gnieźdzą się na wszystkich wyspach położonych na szerokości wyspy Nowej Zelandii.

Z początkiem października (wiosna na południowej półkuli) samce przygotowują gniazdo, lub zajmują gotowe zeszłoroczne. W dziesięć dni później pojawiają się samice ale upływa jeszcze około pięć tygodni zanim zaczną znosić jaja. Połowę tego czasu samica spędza na gnieździe lub przy nim. W przerwach pomiędzy pilnowaniem gniazda, wylatuje na połów nad morze. Samiec rzadko ląduje na wyspie na dłuższy czas dopiero przed zniesieniem jedyne go jaja przez samicę. Jajko posiada skorupę barwy brudnobiałej z licznymi czerwonymi plamkami na tępym końcu. Wymiary jego są pokaźne 12x8 cm (struś 15x12). W kilka godzin po zniesieniu jaja samiec zaczyna je wysiadywać na zmianę z samicą i czyni to przez 78—80 dni.

Zmiany w wysiadywaniu odbywają się co 1 do 14 dni. Okres wylęgu jaja albatrosa trwa bardzo długo, najdłużej ze wszystkich ptaków.

O ile czas wylęgu albatrosa był długim to okres wzrostu jeszcze dłuższy.

To znaczy, mamusiu, że słońce jest życiem, które daje życie? — Tak, lecz jest jeszcze Ktoś, co stworzył słońce, ziemię i wszystkie gwiazdy — i nieustannie czuwa i utrzymuje życie... — Jakiż On wielki! On jest Życiem — rzekła już prawie szeptem matka. Słońce zaszło już do połowy i złocisty wachlarz oblał się żywą purpurą. Ogród i pola tonęły w tej królewskiej purpurze życia a ruchliwa rzeka zdawała się zastygła w jakiejś poważnej zadumie. W całej przyrodzie zapanała cisza: zatrzymały się w swym wiecznym ruchu żywioty, zamilkły ptaki, a kwiaty stanęły bez ruchu, zatopione wraz z całą naturą w modlitewnym hałdzie ostatnim promieniem oddalającego się Króla Życia. Spokój i ciche szczęście snem ogarniały przyrodę, gdyż ona wie, że On wróci w całym swym blasku, bo Życie nie umiera...

A zaś na krańcu widnokręgu, w królewskiej purpurze stał płomienny Anioł i wyciągniętymi dłońmi błogosławił światu... Matka wraz z dziećmi stała twarzą do zachodu i one, zjednoczone w tej chwili z Życiem, odczuły to nabożeństwo przrody i stały cicho, zapatrzane przed siebie. Usta matki poruszały się niedostęпно, a w oczach płonęło światło.

— Tobie, Jedynemu, który trwasz w tysiącach form, wspaniałym blaskiem pochodni płoniesz w geniuszu, i w zbrodniarzu tęsknisz do wyzwolenia — Tobie oddaję tych dwoje ludzi na radosną służbę, — o jedyne, zła nie znające, o boskie Życie!

W. B.

Wynosi bowiem od 225—240 dni. Przez pierwsze 35—40 dni rodzice ustawicznie czuwają nad pisklęciem.

Kiedy jego ciało pokryje gęsty puch, odlatują z wyspy i odwiedzają swe młode dwa razy na tydzień. A kiedy przez puch poczynają przebijać pióra często odwiedziny wzrasta do pięciu razy na tydzień. Przed opuszczeniem gniazda przez młode, rodzice karmią je dwa razy na tydzień. Okres godowy albatrosów trwa cały rok.

Co robią albatrosy w następnym roku po trudach rodzicielskich, czy blakają się nad oceanami? Otóż zagadnienie to rozwiązano w Nowej Zelandii, gdzie przez 10 lat obserwowano kolonie albatrosów. Stwierdzono, że albatrosy łączą się w pary na całe życie, że wylęgiem młodych zajmują się wspólnie.

Stwierdzono również, że gnieźdzą się raz na dwa lata i stale powracają w te same okolice na wylęg.

(„Wszechświat“)

Bóg stwarza sytuacje, a człowiek je rozwiązuje. Módl się, abyś mógł z każdej wyjść zwycięsko.

Piękny jest czyn ten, który ma w sobie dobroć, a wymaga siły w wykonaniu.



Święta Monika — wzorem dla wdów i matek

Spśród różnych świętych matek, na szczególne wyróżnienie zasługuje św. Monika — wdowa — matka św. Augustyna. Tak jak matka została świętą i przepięknym wzorem do naśladowania dla wszystkich matek i wdów, tak później syn jej Augustyn po zerwaniu z grzechem i złym życiem, zostaje biskupem i wielkim świętym Kościoła katolickiego.

Św. Monika urodziła się w Tagaście (Afryka) w r. 332. Należała do licznej rodziny, którą w młodości opiekowała się piastunka, niewiasta bardzo pobożna i wierna, a która bardzo szanowaną była przez rodziców Moniki.

Monika owdowiawszy, miała lat 38 i była matką dwóch synów i jednej córki. Postanowiła żyć tylko dla ich szczęścia i przyszłości, zerwała ze światem, ubierała się bardzo skromnie a dom opuszczała tylko wtedy, kiedy udawała się do kościoła na modlitwę. Najwięcej troszczyła się o syna Augustyna mającego lat 17, chłopca pełnego zdolności, ale usposobienia pełnego krnąbrności i łatwo ulegającego namiętnościom. Wychowała go w wierze chrześcijańskiej i przygotowała go sama do przyjęcia chrztu świętego, a że dotychczas chrztu nie przyjął, było to po części za wpływem ojca, kiedy ten był poganinem. Stroskanej matce sprawiało to kłopot i wielkie zmartwienie. Augustyn, dostawszy się do wyższej szkoły w Kartaginie, zeszedł na drogę występku i grzechu, wiarę swą ponieważ wiał i przyłączył się do wyznawców brudnej sekty Manichejczyków. Nie wysłownym był wtedy smutek i strapienie matki Moniki. Tylko i jedynie w modlitwie szukała pomocy i pociechy.

Po skończeniu nauk Augustyn wrócił do domu rodzicielskiego. Monika go przyjęła z oczami zapłakanymi. Prośby serdeczne i nalegania matki o poprawę życia Augustyna nie nie pomagały. Dla dumnego i ambitnego Augustyna słowa i prośby matki stały się wstrętami. Opuścił znów dom rodzicielski i udał się spowrotem do Kartaginy, gdzie pracował jako nauczyciel krasomówstwa. Zbolałą matkę Monikę pocieszał biskup tymi słowy: „Godzina łaski jeszcze nie nadeszła, ale ty ufaj Bogu i módl się, albowiem niemożliwym jest, aby dziecko na zawsze przepadło, za które matka tyle łez wylała.” Monika pocieszona tymi słowy biskupa, jakby głosem z nieba, modliła się i płakała codziennie, a Aniołowie zbierali te perły łez matczynych do wieńca wiecznej dla niej szczęśliwości.

Z Kartaginy udał się Augustyn do Rzymu, gdzie zajaśniał potęgą zdolności. Następnie wyjechał do Mediolanu i tam zapoznał się ze św. Ambrożym. Monika dowiedziawszy się o tym, udała się w uciążliwą podróż, aby widzieć się ze swoim synem. Uradowało się serce matczyne, kiedy zobaczyła Augustyna na korzyść zmienionego i kiedy usłyszała, że syn jej zerwał zupełnie z Manichejczykami. Z nową odwagą błagała Stwórcę, aby dokonał dzieła z przemianą usposobienia Augustyna. Udała się do św. Ambrożego sama i u niego szukała pociechy, a tę też znalazła. Jeszcze dwa lata przebyła w wielkiej trosce i zaniepokojeniu, aż do świąt wielkanocnych w r. 387, kiedy to Augustyn przyjął chrzest św. i to, jak sam powiedział, w wodzie,

którą matka jego z ocz przez długi czas wylała.

Osiągnawszy to, Monika, do czego tak długo dążyła, skłoniła syna do powrotu do Afryki. W tej podróży towarzyszył jej Augustyn, drugi syn Nawigiusz i liczne grono przyjaciół.

W Ostii pod Rzymem zniewoleni li czekać na statek, aby podróż dalej odbywać, kiedy Monika zasłabła. Ze łzami w oczach wyznała Augustynowi, że Bóg wysłuchał jej długie modlitwy i doczekała upragnionej chwili, kiedy

syn jej ukochany przyjął chrzest święty, stając się przez to bardzo szczęśliwą. Przy tych słowach wzięła syna w objęcia i czule go uściśkała. W kilka dni później zakończyła żywot doczesny na rękach wdzięcznego Augustyna w 56 roku życia. Jej ciało święte Papież Marcin V kazał przenieść uroczystie z Ostii do Rzymu w r. 1430 i odtąd wielkiej czci ona doznaje w kościele św. Augustyna.

Pamiętkę św. Moniki obchodzi Kościół katolicki w dniu 5 maja. Jest ona przepięknym wzorem do naśladowania dla wszystkich żon, wdów i matek.

Marian Jamrozik.

Dobre imię bliźniego

„Lepsze jest imię dobre, niż wielkie bogactwa”, czytamy w Piśmie św. (Przysł. 22,1). Własność bliźniego musi nam być święta i nienaruszalna; sława i dobre imię bliźniego musi nam być czymś jeszcze więcej. Dobre imię jest najwzwyższym z dóbr zewnętrznych. Człowiek, który utracił dobre imię, jest biedniejszy niż żebrak. Łatwiej jest znieść ubóstwo niż pogardę. I bardzo często ten, któremu odebrano dobre imię, załamuje się duchowo i idzie na dno.

Prawdziwie chrześcijańską zasadą jest: myśleć o bliźnim dobrze i dla jego czynów tylko dobrych pobudek się doszukiwać, jak długo to jest możliwe. Miłość jest zasadniczą cechą duszy prawdziwie chrześcijańskiej, a „miłość nie myśli nic złego”. Jeden święty powiedział: „Wolę się raczej mylić, myślarz dobrze o złym, niż źle o dobrym”. A św. Tomasz z Akwinu wyraził się: „Kto o złym człowieku myśli dobrze, ten nie popełnia niesprawiedliwości, ale popełnia ją, kto o dobrym myśli źle”.

Kto tę pierwszą zasadę ma za normę, ten nie będzie również mówił o swym bliźnim bez koniecznego powodu nic złego. Pewnego razu przyszedł do Sokratesa jeden człowiek w najwzwyższym wzburzeniu i zaraz wybuchnął: „Słuchaj, Sokratesie, muszę ci opowiedzieć jak twój przyjaciel” — „Zatrzymaj się!” — wpadł mędrzec w słowo, — „czy to, co chcesz powiedzieć, przesiałeś przez trzy sita?” „Przez jakie sita?” odpowiedział człowiek zdziwiony; „nie wiem, o jakich sitach mówisz”. Sokrates powiedział powoli i z naciskiem: „Pierwszym sitem, o którym myślę, jest prawda. Przez nie musisz przesiał wszystko, co chcesz o drugim powiedzieć. Czy to, co chcesz mi opowiedzieć, dokładnie zbadałeś, czy odpowiada prawdzie?” „Słyszałem, jak o tym mówili, i opowiadałem dalej, jak słyszałem”, odpowiedział zapytany, już mniej pewnie. Sokrates ciągnął dalej: „Czy przesiałeś to przynajmniej drugim sitem, którym jest dobroć. Czy to, co chcesz mi opowiedzieć, jeśli już nie jest udowodnione jako prawdziwe, czy jest przynajmniej dobre?” „Nie”, odpowiedział z zwlekaniem zagadnięty, „przeciwnie, jest bardzo złe.” „To użyjmy trzeciego sita i zapytajmy, czy jest konieczne opowiedzieć mi to, co cię wprawilo w takie podniecenie.” „Konieczne to nie jest”, brzmiała zawstydzona odpowiedź. „No, dobrze”, uśmiechnął się mędrzec, „jeżeli to nie jest ani prawdziwe, ani dobre, ani konieczne, to zostaw to w spokoju i nie obciążaj tym ani siebie, ani mnie”. — Tak ochrania szlachetna mądrość dobre

imię drugiego; jeszcze troskliwiej musi prawdziwy zmysł chrześcijański obchodzić się ze sławą bliźniego.

Prawdziwy zmysł chrześcijański zakazuje również przysłuchiwać się obmowom i oszczerstwom. Kto prowadzi takie mowy, ten roznieca ogień, a kto się im przysłuchuje, ten dokłada do niego drzewa. Św. Bernard mówi: „Nie chcę rozstrzygać, co jest bardziej karalne: czy kto narusza dobre imię bliźniego przez złe mowy, czy kto się tym mowom przysłuchuje; jedną tylko różnicę znajduję: pierwszy ma diabła na języku, drugi w uchu.” Innym razem nazywa on oszczerstwem mieczem, który jednym cięciem powoduje trzy rany: rani oszczercę, ponieważ wtrąca go w grzech; rani oczernionego, ponieważ pozbawia go dobrego imienia; ale rani również słuchającego, ponieważ on również grzeszy.

Grzechy przeciw sławie bliźniego należą do „grzechów z ogonem”, jak je nazywają teologowie. To znaczy, wymagają nie tylko żalu, wyznania i poprawy, ale także wynagrodzenia, jeśli to jest jeszcze możliwe. A to często kroć wymaga dużego samozaparcia.

Ucz się własne życie uporządkować, wtedy zapomnisz ganić postępowanie innych.

Wł. N.

Mało jest niewątpliwie matek, któreby nie życzyły sobie, by syn ich stał się dzielnym charakterem. Życzą sobie tego charakteru jednakże tylko o tyle, o ile on pogodzić da się ze światem; nadewszystko bowiem życzą sobie powodzenia, i to w gruncie rzeczy raczej powodzenia kosztem charakteru, aniżeli charakteru kosztem powodzenia. I ta to właśnie świadoma i nieświadoma kruchość i nikłość ich wiary, ów tajny i jawny pakt z duchem świata, ów niedość ostry przedział między powodzeniem a charakterem jest przyczyną, dla której słabość charakteru lub jego brak zupełny trwają i odradzają się nieustannie na ziemi.

Foerster.

Wydawca: Włocławska Kuria Diecezjalna
Redaktor: Ks. Stanisław Piotrowski

Redakcja i Administracja: Włocławek, ul. Waryńskiego 4. Tel. 16-49. Skrzynka poczt. nr 3. Przyjmuje w godz. od 8-10. Prenumerata z przes. pocztową kwartalnie zł 7.20; półroczna zł 14.40, roczna zł 28.80.

BZG Zakład nr 17 Włocławek, Waryńskiego 4.
Nr. zam. 682 - 3.4.51 - E-2-14497 — 24.000

Błogosławieni miłośni...

Staszek Kaćkorz miał spore gazdostwo w Cichem pod Tatrami, a nadto prowadził sklep kolonialny, jedyny w całej wsi. Nie obawiał się żadnej konkurencji i mógł żyć szczęśliwie i bez troski, gdyby nie chęć i skąpstwo, które zakorzeniły się w jego sercu i tak weszły w krew, że o niczym innym nie myślał, jak tylko o gromadzeniu pieniędzy i zrobieniu wielkiego majątku...

Dla własnej żony i dzieci stał się, opryskliwy i skąpy i niemal liczył im kęsy chleba podczas posiłków, zaś w sklepie brał za lichy towar niemiłosiernie, fantował rzeczy sąsiadom, nie mogącym wypłacić się od razu i pobierał lichwiarskie procenty od pożyczek.

Z miłego dawniej kupca-gazdy stał się krwiopicą i sknerą, o podejrziwym, nieufnym spojrzeniu, gdyż — mimo wszystko — nie mógł patrzeć ludziom prosto w oczy...

Gdy nadeszła zima, wyjątkowo surowa i ostra, a kurniawy i dujawice przewalały się po górach, bieda szerzyła się naokół. Jeden tylko Staszek Kaćkorz robił świetne interesy i zacierał ręce z zadowolenia...

Raz wszedł do sklepu, aby oznajmić swej żonie, że kupuje kawał ziemi od Borowego z Miętusztwa, gdy nagle stanął jak wryty. Oto Kaśka ze łzami w oczach zawiąła w papier bochenek chleba, a potem wręczyła go za darmo starej, ubogiej Szymkuli, co to miała głuchego syna Franka i mieszkała kątem u Łacka, kościelnego.

Nędzarka, szlochając, jak dziecko, całowała ręce gaździnie i błogosławiła jej dobroć, gdy nagle kupiec siny z wściekłości, wpadł w wrzaskiem na swoją babę:

— A to co, haj? Jak śmiesz dawać towar bez grajcarów?! I jednym szarpnięciem wydarł kobiecie z rąk ów bochenek chleba. Biedaczka spojrzała z rozpaczą za znikającą za ladą paczką.

— Zmiłujcie się, gazdo! — jęła błagać w głos pokornie wyciągając ku niemu spracowane i drżące ze starości ręce: — Odrobię wam tyn chleb, jeno mi go teraz nie zabierajcie!!!!...

Ale chłop uniesiony pasją, był bliski apopleksji. Dusila go wściekłość na Szymkulinę. O, bo Staszek Kaćkorz od Butorów, choć sam wyrósł z nędzy, nie nawidził biedoty! Daremnie Kaśka próbowała wstawić się za ubogą wdową. Usłyszała jeszcze tylko wiele paskudnych wyzwisk i złorzeczeń; wreszcie, połykając łzy gorzkie, wzięła się do mycia statków. Szymkula zaś z próżnymi rękami wróciła do swej komory na organistówkę, gdzie na barłogu leżał głuchy Franek.

Upłynęło kilka tygodni. Raz, jakoś pod wiosnę, Kaćkorz nagle zachorował. Gorączka chwyciła go wielka, tak, że o całym świecie zapomniał. Z przymkniętymi oczyma leżał bezwładnie, a sny, sny ciężkie, koszmarnie trapiły go we dnie i w nocy. Jak się to stało, że stracił nagle swe gazdostwo i sklep — nie umiałby powiedzieć...

Wszystko poszło tak, jak z falą powodziową w górach. Nie tacy zresztą jak on, potracili majątki!... Długo tułał się po świecie, przeważnie po miastach, w poszukiwaniu pracy, jednak napróżno. Żarła go bieda, a głód targał mu wnętrzności: nie miał nawet kąta, gdzieby mógł złożyć głowę do

snu... Z gromadą więc najbiedniejszych istot musiał nocować pod wielkim mostem; a w ciągu dnia błagał przechodniów o jałmużnę... Lecz ci odwracali się ze wstrętem od obszarpanego nędzara... Twarde i zimne serca mają bogacze! Ale przecież on sam był tak wyniosłym i nielitościwym dla biedaków!!!!...

Ostry głód, nawet w nocy, pod mostem nie daje Kaćkorzowi spokoju: skrzęta trzewia i targa całym ciałem boleśnie i mocno, że skulona obok jakaś postać unosi w mroku głowę:

— Coż wam to jest? — zapytuje ze współczuciem. — Chorzyście, czy co, ha?!?... —

— E, cożyk miał chorować! — jęknął Kaćkorz: — To... wycie, tak z... głodu!!!!... Trzy dni nie nie jodek!!!!...

O, biedocku mój! Zol mi wos syrdenie! Ale nie tropcie sie. Mom tu kromecke kleba. Biercie jom! Sucho, bo suchoco prawda, ale zawdyk lepe to, niz nic...

Góral z wdzięcznością wziął podaną kromkę i począł chciwie zjadać. Twarda była ale smaczna! Och, jaka smaczna! Każdy kęs żuł długo, rozkoszując się kwaśnym smakiem razowca. Z żalem połknął ostatnie okruszyny...

Ten mały kawałek chleba podany życzliwą ręką, przywrócił mu siły!...

— No cóż? Lepiej wam!? — zapytał głos w ciemnościach.

— Bóg wam zapłać! — odpowiedział wzruszony Kaćkorz. — A już myśleć, co zamre z głodu!!!!...

— E, nie tak to łatwo umiory sie! — mówiła jakaś kobieta. — Nopiyrwej trza sie nacierpieć, zasłużyć na śmierć. Trzy dni — to nie! Ale mój głuchy Franuś nie wytrzymał tej głodówki... Wy go ta nie znali, ale znoł go selijaki w Cichem!!! Znała go lutościwa sklepikorka...

Chłopu, jak gdyby kto nagle zdjął z oczu bielmo: w skulonej postaci na schodach mostu poznał Szymkulinę...

— I jo tyz kiesik go znołek! — ryknął płaczliwie na cały głos. — Przeze

mnie zmarło sie chudziokowi, choć mógł wos poratować a nie chciolek!!!!... Odmówilek wam kleba, a dzisiok — jodlek z wasej renki choć sami ta nie nie mocie!!!!... Wobóćcie mi!... O, Jezusiku! Jaki jo niescensliwy!!! Gdybyk mógł zacońć zycie na nowo!?!...

W rozpaczliwym szlochu, w kajaniu się przed Bogiem, ocknął się chory nagle i począł wodzić zdumionym wzrokiem po izbie. Żona pochyliła się nad nim.

— Co ci to, Staszku? — pytała troskliwie: — Jęcołeś tak! Łzy mosz na licu...

— E, nie mi już nie jest wyszeptał Kaćkorz, a uśmiech rozjaśnił mu twarz... To był tylko sen, zesłany przez Boga, abym przejrzał na ocy!... O, dzięki Ci, Panie Jezusku!... Tak, teraz wiy...

Gaździna stała wciąż pochylona nad mężem i patrzyła na niego przerażonym wzrokiem, nie rozumiejąc zgłó, co mówi. Ale Staszek przyszedłszy wkrótce do siebie, wyjaśnił jej przyczynę swego majaczenia i łez na twarzy. Potem kazał zanieść Szymkulinie kilka bochenków świeżego chleba.

Od czasu swej choroby zmienił się Kaćkorz zupełnie. Radosny i wesoły wspomagał biednych, a im więcej rozdawał — tym więcej mu się szczęściło. A gdy urodziła się mu jeszcze jedna córeczka, któż był chrzestną matką? Czy jaka hruba gaździna albo kto z pobliskiego Czarnego Dunajca?!?... O, nie! — Dziecko trzymała do chrztu Szymkulina uboga wdowa, która głodnemu Kaćkorzowi podała we śnie kromkę chleba... — cki —

Tlen i wodór

Tlen i wodór są gazami bezbarwnymi. Na szczególną uwagę jednak zasługują tlen, którego w powietrzu znajduje się 21%. Duży procent zawiera go woda, większość skał, substancje roślinne i zwierzęce. Ma on własności łączenia się z innymi pierwiastkami, co nazywamy utlenianiem, a powstające przy tym związki — tlenkami.

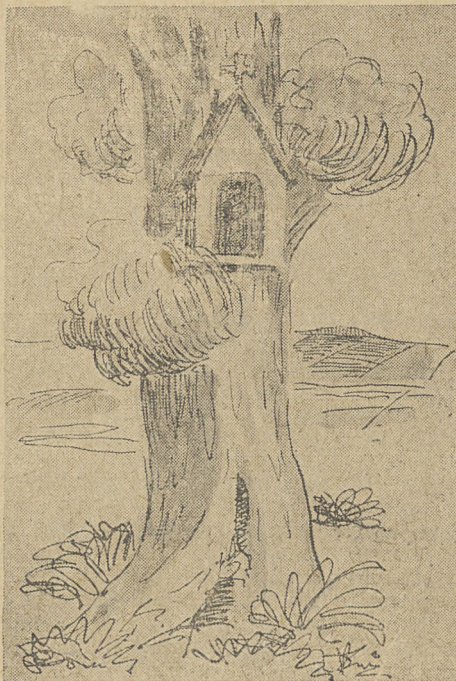
Przykładem tego może być żelazo, które połączone z tlenem w wilgotnym powietrzu rdzewieje. Dlatego też naczynia kuchenne są w środku polewane, lub aluminiowe.

Przy spalaniu węgla w piecu różne jego składniki łączą się z tlenem z równoczesnym wydzielaniem ciepła. Gdy spalanie odbywa się w samym tlenie, temperatura wytwarzana, jest wyższa niż wtedy, gdy spalanie następuje w powietrzu.

Gdy oddychamy, to pobieramy tlen, a wydychamy zaś tlenki.

Tlen podtrzymuje palenie. Inaczej jest z wodorem, który się pali. Jest on najlżejszym ze wszystkich pierwiastków. Jest on 14 razy lżejszy od powietrza i dlatego używa się go do balonów. W wyższych temperaturach wodór tak chciwie łączy się z tlenem, że odbierze tlen nawet różnym związkom tlen zawierającym. Chemicy korzystają z tego często. Tak np. można otrzymać czyste metale działając wodorem na tlenki. Słusznymi nieraz o mieszaninie piorunującej. Cóż to takiego? Jest to mieszanina wodoru z tlenem, która zapalona, lub silnie podgrzana, gwałtownie wybucha, dając wodę.

(Nm)



Kapliczka przydrożna